

Ryszard Szewczyk

Sposób na kryzys?

Właściwie dlaczego ściga się fałszerzy pieniędzy? Przecież fałszerz kupuje za swoje „pieniądze” potrzebne mu towary, dzięki czemu właściciel sklepu osiąga dochód i też może kupić od hurtownika to, co jest mu potrzebne do dalszego handlu, a ten z kolei może złożyć zamówienie u producenta, dzięki czemu producent ów osiągnie dochód ze sprzedaży, z którego zapłaci swoim pracownikom i tak dalej. W całym tym łańcuchu jedni mogą produkować, inni mają dzięki temu pracę, a wszyscy osiągają dochody, które pozwalają im normalnie żyć i funkcjonować na rynku. Uruchamiany jest zatem dokładnie taki łańcuch przyczynowo-skutkowy, który teoria ekonomii nazywa procesem rozwoju gospodarczego. Dlaczego więc, gdy ktoś odkryje fałszerstwo, uruchamiany jest cały aparat ścigania, aby wytropić fałszerza i wsadzić go do więzienia, a fałszywe pieniądze wycofać z obiegu? Czyż fałszerz nie jest dobroczyńcą raczej niż złoczyńcą?

A dlaczego banki nie chcą udzielać kredytu ani ludziom bezrobotnym, ani zarabiającym zbyt mało, ani tym, którzy są już zadłużeni po uszy, ani wreszcie bankrutującym przedsiębiorstwom? Przecież gdyby kredyt w każdym z takich wypadków został udzielony, to otrzymane pieniądze nie tylko pozwoliłyby kredytobiorcom na zakup rzeczy i usług koniecznych im do życia albo do utrzymania na rynku upadającego przedsiębiorstwa, ale dzięki temu znowu zostałyby uruchomiony łańcuchowy proces powstawania kolejnych dochodów, w wyniku czego rósłby dochód narodowy i dobrobyt obywateli. Postawa bankierów odmawiających kredytu w takich przypadkach jest tym bardziej niezrozumiała, że takie działania nic ich nie kosztują, gdyż – według niektórych „znawców” tematu – tworzą oni ów pieniądź z niczego, używając jedynie pióra do zapisu kwoty kredytu na koncie¹. Dlaczego więc banki nie chcą skorzystać z okazji, aby stać się instytucjami lubianymi i szanowanymi przez wszystkich za ich znaczący wkład w rozwój dobrobytu i szczęścia obywateli, ale uparcie odmawiają w takich wypadkach kredytów, godząc się na to, aby być traktowane jako świątynie chciwości, w których niecni bankierzy ogarnięci niepohamowaną żądzą bogacenia się realizują swe egoistyczne cele, za nic mając szkody, jakie czynią swoim procederem gospodarce narodowej? Czyżby owymi chciwcami pozbawionymi skrupułów zostawali tylko masochiści?

A dlaczego właściwie w ogóle żąda się od ludzi, aby płacili pieniędzmi, skoro godziwe życie jest dla jednych naturalnym prawem każdej osoby ludzkiej, niezależnie od tego czy i jak się o to stara, a dla tych, którzy negują istnienie prawa naturalnego, prawo takie istnieje dzięki inicjatywie świątłych władców? Dlaczego więc nie realizuje się tego prawa bezpośrednio, tylko stwarza bariery w postaci pieniędzy? Czy nie po to właśnie, jak podejrzewają niektórzy zwolennicy spiskowej teorii dziejów, aby nieliczni mogli żyć i bogacić się kosztem pozostałych?

Otóż nie po to. Przede wszystkim pieniądź nie został przez nikogo wymyślony, ale powstawał przez dziesiątki wieków, wyłaniając się stopniowo po różnymi postaciami w różnych miejscach świata i odrzucając stopniowo w procesie ewolucji te cechy, które nie były niezbędne do pełnienia jego funkcji. Powstawał zaś wszędzie tam, gdzie ludzie chcieli zaspokajać swoje potrzeby dobrami posiadanymi przez innych, ale nie chcieli czynić tego w sposób barbarzyński. A barbarzyński jest każdy akt złodziejstwa, rabunku i wojny niezależnie od tego, pod jakim sztandarem jest to czynione. Tak więc *pieniądz służył ludziom prawym*, którzy chcieli dokonywać dobrowolnej wymiany efektów własnej pracy na efekty pracy innych ludzi. Miał ułatwiać taką wymianę, eliminując niedogodności wymiany barterowej, czyli bezpośredniej wymiany jednego dobra na inne. Miał zatem jedynie usprawniać wymianę w taki sposób, aby zachować najważniejsze dwie zasady, na jakich się opierała, a mianowicie zasadę *dobrowolności* i zasadę *wzajemności*, u podstaw których leży poszanowanie prawa własności. Kto tych zasad przestrzega, jest uczestnikiem rynku, czyli może zaspokajać swoje potrzeby by tym, co oferują na rynku inni, dając w zamian coś własnego.

Szanując prawo własności, można nie korzystać z możliwości zaspokajania własnych potrzeb dobrami posiadanymi przez innych. W takim wypadku pozostaje zaspokajanie tych potrzeb samodzielnie, a osoba, która wybrała taki sposób postępowania, pozostaje poza rynkiem. Poza rynkiem pozostają oczywiście także wszystkie te osoby, które dostają od uczestników rynku cokolwiek za darmo; mogą to być pieniądze lub towary. W tej grupie znajdują się przede wszystkim członkowie rodzin uczestników rynku, ale także inne osoby obdarowywane stale lub doraźnie z jakiegokolwiek innej przyczyny.

Poza rynkiem pozostają wreszcie ci, którzy zaspokajają własne potrzeby tym, co należy do innych, ale czynią to z naruszeniem prawa własności, uciekając się do kradzieży, rabunku, podstępu, oszustwa lub wymuszenia. Nie ma przy tym znaczenia, czy zdobywają w ten sposób bezpośrednio dobra, czy też pieniądze, za które można na rynku kupić potrzebne dobra.

Nie wchodząc głębiej w historię i teorię pieniądza, chcę w tym miejscu wyeksponować fakt, że w każdym czasie i miejscu i pod każdą postacią pieniądź pełnił, i pełni nadal, podstawową funkcję *legitymacji potwierdzającej prawo* jej posiadacza do zakupów na tym lokalnym rynku, na którym pieniądź ten

funkcjonuje². Jest on dla wszystkich oferentów towarów na tym rynku czytelnym i akceptowanym znakiem, że ten kto go ma jest uczestnikiem tego rynku, czyli że przestrzega wspomnianych dwóch zasad wymiany rynkowej, w szczególności zaś zasady wzajemności. Zasada ta oznacza dostarczenie innym uczestnikom rynku w zamian za otrzymywany towar tego, co zechcą oni dobrowolnie przyjąć. Nie wystarczy więc udać się na rynek dobrowolnie i oferować cokolwiek, aby stać się uczestnikiem tego rynku, ale trzeba oferować taki towar, który inni zechcą kupić. Jest przy tym jasne, że nie wystarczy okazać pieniądza-legitymacji, aby dostać na rynku towar, ale trzeba ją przekazać sprzedawcy, przekazując mu tym samym prawa, jakie ona daje. Dlatego też pieniądz można bardziej formalnie nazwać *przekazem na okaziciela*. Będąc takim przekazem, pieniądz pełni równocześnie wszystkie pozostałe funkcje, jakie wymienia się w literaturze.

Skoro podstawowym zadaniem pieniądza jest zapewnienie zachowania zasady wzajemności, to teraz staje się jasne, że może go dostać tylko ten, kto już coś innym dostarczył, czyli już osiągnął dochód, albo ktoś, kto gwarantuje, że osiągnie dochód w ustalonym terminie. Chcę podkreślić, że chodzi tu wyłącznie o *dochód ze sprzedaży towarów* na rynku, bo jest to jedyny sposób zachowania zasady wzajemności. W pierwszym wypadku następuje przekazanie istniejącego pieniądza kolejnemu uczestnikowi rynku. W wypadku drugim natomiast pieniądz może zostać w tym celu stworzony z niczego przez bank, pod warunkiem, że pieniądz taki, który jest de facto pieniądzem prywatnym, będzie honorowany przez uczestników rynku³. W rzeczywistości kreowany przez banki komercyjne pieniądz bankowy jest honorowany, a nawet dla transakcji na większe kwoty pełni zgodnie z prawem rolę jedynego prawnego środka płatniczego. Warto jednak dodać, że możliwe jest to pod warunkiem, że bank centralny zamieni w razie potrzeby prywatny pieniądz bankowy na oficjalny pieniądz urzędowy, zwany bazą monetarną.

Dość teorii. Wróćmy do sprawy najważniejszej. Otóż najważniejsze jest w całym mechanizmie funkcjonowania pieniądza to, że może on powstawać tylko wtedy, gdy jego pojawienie się spowodowała osoba mająca zdolność do dostarczenia innym potrzebnych im towarów. Nie może to więc być ani upadające przedsiębiorstwo, mające w magazynach tony towarów, których nikt nie chce *kupić* w ogóle, albo po żądanych cenach. Nie może to być osoba bezrobotna, bo jej usług nikt nie chce *kupić*. Nie może to być osoba nadmiernie zadłużona, bo nie potrafi dostarczyć tyle, aby zasada wzajemności była dochowana. W każdym z tych przypadków oddanie do dyspozycji tych podmiotów pieniędzy oznaczałoby, że podmioty te dostaną towary im potrzebne, ale same niczego nie dadzą w zamian. Podmioty takie osiągałyby zatem *nienależne im korzyści* kosztem pozostałych normalnych uczestników rynku i wbrew ich woli.

To są jedyne powody, dla których ani żaden bank, ani żadna osoba mająca jakieś zasoby pieniężne, podmiotom takim nie chce udzielić kredytu lub

pożyczki. Żaden z nich bowiem nie jest w stanie osiągnąć dochodu ze sprzedaży swoich towarów, aby kredyt lub pożyczkę spłacić w uzgodnionym czasie. Gdyby pożyczki udzielił ktoś prywatnie, to niechybnie straciłby swoje oszczędności, które ma przecież dlatego tylko, że swojego dochodu jeszcze nie wydał, czyli jeszcze nie dostał ekwiwalentu za swoje dobra czy usługi. Gdyby zaś kredytu udzielił bank, to niechybnie kredyt nie zostałby zwrócony, a oddany do rąk kredytobiorcy pieniądź byłby w gruncie rzeczy tym samym, co pieniądź wydrukowany potajemnie w piwnicy fałszerza. Fałszerz wszak także dostaje towary, nie dając nic w zamian.

W tym kontekście przyjrzyjmy się teraz lansowanym ostatnio otwarciu lub skryciu – nienowym, trzeba to od razu powiedzieć – pomysłom na przeciwdziałanie skutkom kryzysu gospodarczego, jaki rozszerza się po całym świecie. Za głównych winowajców zostali niemal jednogłośnie okrzyknięci – a jakże – bankierzy, którzy – według krytyków – mieli udzielać lekką ręką kredytów hipotecznych osobom nieposiadającym zdolności kredytowej, a do tego jeszcze na szeroką skalę wchodzili w transakcje tzw. derywatami kredytowymi, czyli instrumentami finansowymi o wysokim ryzyku.

Mówiąc o tym, przemilcza się jednak dwa istotne fakty. Pierwszym jest to, że owe rzekomo podejrzane kredyty hipoteczne były udzielane osobom o niskim bonitecie kredytowym tylko dlatego, że każdy z nich był gwarantowany przez specjalnie w tym celu utworzone z przyczyn politycznych quasi-rządowe instytucje finansowe, Federal National Mortgage Association (FNMA, określaną familiarnie jako Fannie Mae) oraz Federal Home Loan Mortgage Corporation (FHLMC, nazywaną Freddie Mac). Czy może być dla banku lepsze zabezpieczenie kredytu niż gwarancja instytucji działającej pod parasolem państwa? Drugim przemilczanym faktem jest ten, że derywaty kredytowe są w istocie wymyślonymi przez tzw. inżynierów finansowych, a więc – fachowców od finansów – instrumentami finansowymi, za pomocą których bank udzielający kredytu sprzedaje ryzyko kredytowe innym instytucjom finansowym, które działają w istocie na podobnych zasadach jak zakłady ubezpieczeń; w zamian za stosunkowo niewielką składkę przejmują na siebie ryzyko niewypłacalności kredytobiorcy. Banki wchodziły zatem w tego rodzaju transakcje jako podmioty ubezpieczające swoje kredyty. Czy takim działaniom można zarzucić nieroztropność?

Nie czas to ani miejsce, aby dokonywać dokładnej analizy przyczyn kryzysu. Są one bez wątpienia złożone, ale już mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że ma w nich znaczący udział polityka deficytowego finansowania wydatków publicznych, której efektem jest tworzenie fikcyjnego majątku finansowego. Po raz kolejny sprawdza się więc porzekadło: „kowal zawinił, Cygana powiesili.” I po raz kolejny, ów kowal sięga po te same metody, które doprowadziły do kryzysu.

Receptą na kryzys ma być stymulowanie gospodarki przez państwo poprzez uruchomienie programu wydatków publicznych. B. Obama już wydał około 860 miliardów dolarów na uchwalony przez Kongres program ratowania gospodarki, ale na pewno na tym nie poprzestanie. Jego admiratorzy z Unii Europejskiej robią to samo, tyle że na proporcjonalnie mniejszą skalę. W Polsce zaś czołowa partia opozycyjna lansuje w spotach telewizyjnych nienową, keynesistowską tezę, że najlepszą receptą na kryzys jest deficyt budżetowy. Rząd wprowadzie dowodzi, że w Polsce kryzysu praktycznie nie ma, a wręcz przeciwnie, gospodarka nasza jest jedyną oazą spokoju z 1,5% wzrostem PKB na wzburzonym morzu kryzysu gospodarczego pozostałych państw Unii Europejskiej, ale mimo to tegoroczny budżet zamknie się rekordowym jak dotąd deficytem 25 mld złotych, a zadłużenie przekroczy 650 mld złotych. Jeszcze większy, bo przekraczający 52 mld złotych, deficyt zaplanowano w budżecie państwa na rok 2010, co spowoduje zwiększenie do 55% relacji polskiego długu publicznego do PKB.

Wszędzie na świecie władze idą więc szerokim frontem, zadłużając się na miliardy dolarów, euro, funtów i innych walut po to, aby wydawać je na programy antykryzysowe i liczą na to, że i tym razem powiedzie się sztuka przejmowania przez państwo realnych dóbr i usług w zamian za bezwartościowe znaki, które stanowią miraż bogactwa. Finansowanie programów antykryzysowych środkami pochodzącymi z długu publicznego, niezależnie od tego, czy jest to dług wewnętrzny, czy zewnętrzny, oznacza bowiem tworzenie mirażu bogactwa u tych wszystkich, którzy za swoje świadczenia „wynagradzani” są pieniądzem tworzonym z niczego.

Państwo jako podmiot władzy nigdy i nigdzie nie dostarcza żadnych dóbr ani usług, które byłyby sprzedawane na zasadach rynkowych. Nie ma zatem własnych dochodów, lecz przejmuje za pomocą podatków i innych danin publicznych pewną część dochodów swoich obywateli. Podkreślić tu należy słowo „obywateli”, ponieważ to oni ostatecznie ponoszą ciężar wszelkich podatków i opłat. W związku z tym pożyczanie pieniędzy państwu niczym nie różni się od pożyczania ich innym podmiotom niezdolnym do osiągnięcia dochodu, jest po prostu dawaniem pieniędzy podmiotowi, który przeznaczy je na zapłatę za dobra i usługi, nie dając w zamian niczego. Wszelkie roszczenia z tytułu takiej pożyczki mogą być kierowane wyłącznie do tych, którzy państwo utrzymują, czyli do jego obywateli.

Jeżeli więc państwo emituje obligacje skarbowe i sprzedaje je podmiotom krajowym, to jako żywo zachowuje się tak samo, jak niepracujące dziecko, które pożycza pieniądze od swoich rodziców, zobowiązując się na piśmie do zwrotu pożyczki. Może oczywiście pożyczyć pieniądze na przykład od mamy, a zwrócić je z tego, co otrzyma od taty. Czy jednak ktokolwiek myślący logicznie uznałby taki „skrypt dłużny” dziecka za składnik majątku jego rodziców? Czy ktoś miałby wątpliwości, że jedynym sposobem „uregulowania” takiego „zobowiązania”

dziecka w ramach rodziny może być tylko jego anulowanie? Czy wobec tego można mieć jakieś wątpliwości co do źródła, z którego pochodzić będą środki na wykup obligacji skarbowych będących w posiadaniu podmiotów krajowych i jaki wywoła to skutek majątkowy w skali kraju? A warto przy tym pamiętać, że w obligacjach skarbowych „lokowana” jest prawie całość obowiązkowych składek zbieranych przez fundusze emerytalne w ramach drugiego filara systemu ubezpieczeń emerytalnych oraz znacząca część środków gromadzonych w ramach dobrowolnego trzeciego filara na indywidualnych kontach emerytalnych.

Podobny jest skutek, gdy państwo emituje obligacje i sprzedaje je na rynkach zagranicznych. Posiadacze tych obligacji otrzymają zwrot kapitału wraz z odsetkami tylko wtedy i tylko w takich rozmiarach, w jakich państwo ściągnie potrzebne na to fundusze od swoich obywateli. Jedyna różnica polega więc na tym, że przy dźwigni wewnętrznej państwo przejmuje od razu dochody nabywców obligacji skarbowych, a potem – patrząc z perspektywy państwa – dług trzeba anulować, natomiast przy dźwigni zewnętrznej przewłaszczenie dochodów obywateli następuje dopiero w momencie wykupu obligacji. Tak czy inaczej więc wydatki państwa sfinansowane długiem oznaczają w istocie przymuszenie obywateli do przekazania państwu „kupionych” przez nie dóbr i usług za darmo. Używane zaś instrumenty finansowe mają za zadanie ukryć faktyczny charakter tego, co państwo robi, czyli – mówiąc wprost – oszukać swoich obywateli.

Podsumowując te rozważania, chcę jasno podkreślić, że państwo może korzystać z pozycji władcy w takim zakresie, jaki uzna za stosowny. Mówiąc inaczej, dopóki obywatele to znoszą, może im zabierać nawet całość tego, co w danym okresie wytworzą, a potem dzielić i wykorzystywać to według własnego uznania. Dopóki więc tak postępuje, państwo takie jest w pewnym sensie uczciwe, bo nie stwarza żadnych złudzeń co do celu i sposobu postępowania.

Jeżeli jednak państwo najpierw otwarcie i w majestacie prawa odbiera obywatelom za pomocą podatków i opłat część efektów ich wysiłku, a potem, korzystając z uprzywilejowanej pozycji pozbawia ich dalszej części, udając że kupuje jak normalny podmiot rynkowy, i wykorzystuje do tego stworzone z niczego pieniądze, to postępuje gorzej niż fałszerz, bo oszukany nie ma już żadnych instrumentów prawnych, aby dochodzić swojej krzywdy. Finansowanie wydatków publicznych z deficytu budżetowego jest takim właśnie oszustwem w majestacie prawa. Prawdy tej nie zmieni nawet największe nazwisko uznane za autorytet naukowy.

Przypisy

- ¹ Por. np. J. Huerta de Soto, *Pieniądz, kredyt bankowy i cykle koniunkturalne*. Instytut Ludwiga von Misesa, s. 138-160, Warszawa 2009.
- ² Zob. Szewczyk R., *Pieniądz a dochód*. Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Bochni Folia Oeconomica Bochniensia, nr 3/2005, s. 95.
- ³ Przedstawiciele Austriackiej szkoły ekonomii fakt tworzenia pieniądza przez banki komercyjne z niczego uważają – zupełnie niesłusznie – za jedną z przyczyn inflacji. Zob. Rothbard M. N., *Tajniki bankowości*. Podręcznik akademicki. Fijor Publishing, Chicago, Warszawa 2007 passim.